

Poniżej drukujemy nagrodzoną II miejscem pracę w konkursie „Nie ma Cracovii bez Wisły, nie ma Wisły bez Cracovii” autorstwa Ewy Gabryś. W Kolejnych wydaniach „Futbolu Małopolski” zamieszczać będziemy sukcesywnie kolejne nagrodzone teksty.



# Okółopitkarskie refleksje - damski punkt widzenia

Była niedziela, 5 grudnia 1948 roku. Zapowiadał się piękny, wyczekiwany przez nas od dawna dzień. Mój szesnastoletni brat Andrzej i ja, dwunastoletnia Ewa, zapaleni kibice Cracovii, wybieraliśmy się właśnie z Ojcem na boisko Garbarni, by obejrzeć mecz, jaki co dzień się nie zdarza - derby Cracovia - Wisła! - i to jeszcze o mistrzostwo Polski!!! Nasze kibicowanie ukochanej drużynie zaczęło się zaraz po wojnie, kiedy to zamieszkaliśmy niedaleko stadionu Cracovii, przy ul. Słonecznej (dziś Prusa) 15. A więc, jak to się dzisiaj mówi, a także pisze na transparentach stadionowych, po właściwej stronie Błot. (Nawiasem mówiąc, mieszkając krótko w czasie okupacji po tej niewłaściwej stronie, przy ul. Kawiory, bawiliśmy się nieopodal boiska Wisły, co jednak nie miało wpływu na nasze późniejsze sympatie.)

Wspomniane derby w 1948 r. przeżywaliśmy na stadionie niezwykle mocno, jako że emocji jak wiadomo nie brakowało. Już zaraz na początku rozpacz nieprawdopodobna! Legutko z podania Gracza daje Wiśle prowadzenie, jednakże po licznych groźnych atakach z obu stron, tuż przed, samą przerwą dwie cudowne bramki - „główka” S. Różankowskiego i gol Szeligi z podania E. Różankowskiego dały Cracovii nieco spokoju w szatni, przed dalszym ciągiem batalii po przerwie. Nie było później łatwo, gdyż Wisła walczyła zaciekle, lecz szczęście było po naszej stronie: E. Różankowski, idąc w ślady brata, zapewnił Cracovii zwycięstwo i tytuł mistrza Polski. Szał radości po meczu zakłóciła jednak smutna wiadomość, jaka czekała na nas po powrocie do domu. Tego akurat dnia Służba Bezpieczeństwa zaareztowała naszego bliskiego sąsiada, znanego literata i teatrologa, Tadeusza Kudlińskiego, za działalność w okupacyjnym podziemiu. Ale to już temat na inne opowiadanie...

Cracovia towarzyszyła nam przez całe lata szkolne, nieraz nawet kosztem nauki, nad czym bardzo bolała nasza Mama, mając za złe Ojcu, że wyciągał nas na mecze. Ale mecze te były wówczas praw-

dziwą przyjemnością i wielkim widowiskiem - kulturalny doping, sympatyczni, życzliwi względem

odstawiać nogi! I niepisana zasada fair play, o której dziś można już tylko pomarzyć... (We wspomnieniach przywołuję obecnie to dawne, zgrzebne w porównaniu do dzisiejszych standardów boisko, z drewnianą trybuną od strony Focha, pięknym torem, kolarskim i karkotomnymi ewolucjami cykliśtów, drewnianą budką „szatnego” Wiechcia od strony Kraszewskiego, widok sporej grupy kibiców obserwujących mecz z dachu Rotundy i charakterystyczny dla mnie jako dziecka „zapach meczu”, jak to określałam w rozmowie z Ojcem, a więc zapach dymu papierosowego



siebie kibice, nie mówiąc już o prawdziwym zaangażowaniu piłkarzy w walkę na boisku - nikt wtedy, jak to się teraz mówi, nie

w potaczeniu z zapachem trawy.)

Poza boiskiem szliśmy czasem za naszymi idolami, gdy wychodzili po treningu, udając się do

swej siedziby przy ul. Smoleńsk 16. Tam wystawialiśmy nieraz długo w oczekiwaniu na upragnione autografy. Wieczorem, w dniu zakończenia aktualnej kolejki ligowej, wszyscy prawdziwi kibice, a więc i my, spotykaliśmy się pod redakcją „Dziennika Polskiego” obok Poczty Głównej, jako że tylko tam mogliśmy poznać na bieżąco wszystkie wyniki kolejki. A także poczuć atmosferę autentycznego zaangażowania w sprawę piłki i swojego klubu oraz wymienić poglądy na interesujące nas tematy. Później, w domu, sporządzało się w oparciu o wszystkie wyniki aktualną tabelę, a zajęciu temu towarzyszyły zazwyczaj wielkie emocje.

Piłka nożna, reprezentowana przez krakowskie kluby piłkarskie, towarzyszyła mi również na co dzień w postaci kontaktów koleżeńskich. W szkole podstawowej jedną z najbliższych mi koleżanek była Danusia Wilczkiewicz, córka znanego piłkarza m.in. Garbarni, a później trenera, m.in. II-ligowej Cracovii, Eugeniusza Wilczkiewicza, a zarazem siostra napastnika Cracovii, Mieczysława Wilczkiewicza. Namawiam ją teraz usilnie, aby wzięta udział w konkursie i przedstawiła nieco ciekawych historii piłkarskich, niejako z pierwszej ręki. Przy jej skromności nie chce na razie o tym słyszeć, ale zna z pewnością sporo interesujących faktów, jak choćby 150. bramka w derbach, strzelona dla Cracovii przez brata Danusi, Mieczysława, w 1953 roku. A także historia opowiedziana jej przez siostrę legendarnego szatnego Cracovii, Jana Wiechcia, gdy w czasie okupacji cała jego rodzina z narażeniem życia przechowała w łóżku pod kołdrą sztandar ukochanego klubu.

W późniejszych latach 50-tych, w Średniej Szkole Muzycznej przy ul. Warszawskiej 11, do której uczęszczałam równolegle z nauką w Liceum im. Joteyki, miałam okazję poznać starszego o kilka lat kolegę, Zdzisława Najdera - piłkarza, a zarazem ucznia wydziału instrumentalnego w

ciąg dalszy na str. 10